Rok I. Kraków, dnia 5 Wrześia 1882 r. Nr. 11.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.

W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr. kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik **K. Bartoszewicz.**
Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Blaschke.**
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

PO DZIESIĘCIU LATACH.

NOWELLA

Walerji Marrené.

(Ciąg dalszy).

— Przyjąć lub odrzucić — powtórzyła może szyderczo, może obojętnie, bo głos jej, zarówno jak twarz, nie był skory do oddawania uczuć, rzekłbyś że spoczywała na nim i na rysach zasłona narzucona siłą woli, albo siłą okoliczności — Ha! panie Karolu — dodała po chwili — życie nauczyło cię zapewne wielu rzeczy, ale nie twardych tajemnic swoich. Tem lepiej, tem lepiej.

Zdawało mi się, że w tych słowach dostrzegłem cień litości lub wyższości protekcyjnej i cała moja męzka duma oburzyła się na to.

— Jeźli mądrością życia nazywasz pani zwątpienie, niewiarę we wszystko, to przyznaję się, nie nabyłem jej dotąd.

Sądziłem, że frazes ten zrobi wrażenie na pannie Joannie; używałem go nieraz w podobnych okolicznościach i przyzwyczajony byłem, że na taki zarzut, nadobne przeciwniczki moje uznawały się zwyciężonemi.

Oczekiwałem więc pożądanego skutku, gotując się przyjąć kuzynkę do łaski i uwolnić od strasznych zarzutów.

Ale panna Joanna z najzimniejszą krwią spojrzała na mnie i rzekła:

— Niewiara w co? zwątpienie o czem? Nie było mowy, o ile sobie przypominam, ani o jednej, ani o drugiem, tu szło o życie, o jego prawa i trudności.

Musiałem przyznać, że moja kuzynka była, jak na kobietę, dość logiczną. Ale rzecz dziwna, logika ta niecierpliwiła mnie zamiast zachwycać. Byłem nawet zły, zły jak aktor, któremu się zwykły efekt nie udał.

Panna Joanna nie wiedziała o tem i mówiła dalej:

— Świat ten i ludzie na nim, są jak przedmioty które inaczej wyglądają widziane z góry, z dołu lub z rozmaitych poziomów; alboż wątpi się o istnieniu rzeczy, którą się ogląda ze stron wielu? Zna się je owszem dokładniej, różnostronniej oto wszystko.

Wypowiedziała to bardzo spokojnie, a nawet w głosie jej, o pewnem, choć nieco przytłumionem brzmieniu drgała, wbrew słowom, miękkość i łagodność dziwna.

Potem spojrzała na zegarek i powstała z kanapki.

Patrzyłem na nią milcząc.

Słodycz jej głosu rozbroiła mój gniew niedorzeczny, którego szczęściem nie domyśliła się nawet.

I sam nie wiem jak się to stało, iż zawołałem bez namysłu.

— Odchodzisz już, kuzynko!

Dotąd nie nazywałem ją kuzynką,—kuzynostwo nasze było-

KRONIKA.

Wystawa przemyska i p. Alojzy Teleżyński. Moje ofiarowanie się na usługi kraju. Poświęcenia. Kiedy wypada oburzać się. Pan Jerzy Moszyński. Stronnictwo panny Bocskaj i wiele innych rzeczy.

Wystawa w Przemyślu otwarta. Fakt ten doniosłego sam przez się znaczenia, stał się jeszcze donioślejszym od chwili, kiedy w celu zwiedzenia wystawy udał się do Przemyśla p. Alojzy Teleżyński, współredaktor Gazety Krakowskiej. Nawet «Czas» uderzony doniosłością, jaką dla kraju podróż ta mieć może, zamieścił o niej skwapliwie wiadomość na czele swojej kroniki. Powtarzam ją tem chętniej, że wszystko co z dobrem kraju ma związek zasługuje na podniesienie, podkreślenie, zanotowanie, skonstatowanie, zaznaczenie, rozszerzenie, otrębywanie.....

Zresztą mam ja myśl dalszą. Oto również dla zbawienia kraju wybieram się do Przemyśla, a nie mogąc w inny sposób dać znać „Czasowi i Gazecie krakowskiej» o tym moim godnym najwyższej pochwały zamiarze, postanowiłem za pomocą kroniki i p. Aloizego Teleżyńskiego zwrocić na ten fakt uwagę szanownych organów, aby nie poskąpiły miejsca dla następującej wiadomości:

«Pan K. B. kronikarz i zasłużony współpracownik zasłużonego «Przeglądu literackiego,» dzierżawca jednej czterdziestej części hotelu drezdeńskiego, chwilowy zastępca sekretarza «Koła literackiego,» członek honorowy i zwyczajny wielu towarzystw uczonych i filantropijnych, korespondent pism miejscowych i zagranicznych, kandydat na członka wielu komitetów itd. itd. opuścił nasze miasto, udając się na wystawę przemyską. Mamy nadzieję, że owoce tej podróży, równie słodkie jak soczyste, pozna niezadługo kraj cały, a za nim monarchja. P. K. B. wyjechał jako delegat 19 towarzystw istniejących i założyć się mogących.»

A pomyślcie sobie szanowni czytelnicy, jaką dumą serce wasze napawać się będzie gdy przeczytacie w telegramach, że wasz najniższy służka «zwiedził dziś rano bydło przemyskie i porównywując je z krakowskiem oddał temu ostatniemu pierwszeństwo,» albo, że «na oddziale ogrodnictwa szczególną zwrócił uwagę na głowy kapuściane znane pod nazwą *Electi Popielorum*, oraz na głąbie krajowe *(scriba politicus)*, których odmiana *scriba pol. cracoviensis*, w krótkim czasie rozpleniła się imponująco.»

Naturalnie tem, co zobaczę, nie omieszkam się podzielić z czytelnikami «Przeglądu,» którzy mając mnie jako reprezentanta swojego na wystawie, słusznie sprawozdania wymagać będą mogli. Namyślam się jednak czy zwołać po powrocie zebranie moich wyborców tj. prenumeratorów, czy też drukiem wywiązać się z obowiązku. Prawdopodobnie przyjmę ten drugi sposób, gdyż jak to ostatnie zebrania pokazały, posłowie przed pustemi ławkami musieli bronić polityki galicyjsko-austrjackiej, ztąd nic dziwnego, że

nawet tak dalekie, iż nie umielibyśmy dokładnie go oznaczyć Teraz dopiero przyszła mi na myśl ta nazwa, której używaliśmy niegdyś.

Ale ona nie zwróciła na to uwagi, a przynajmniej nie pokazała niczem, że ją zwraca, bo spojrzenie jej było tak mądre i bystre, iż z pewnością chwytało każdy przelotniejszy odcień.

— Mam zajęcie — odparła krótko i skierowała się ku gabinetowi, gdzie ciocia w towarzystwie czcicieli muz, rozprawiała o najnowszem filozoficznem dziele.

Panna Joanna należała do rodzaju kobiet drobnych i szczupłych, którym natura, jakby wynagradzając wątłość postaci, daje wielką energję muskułów i harmonię ruchów.

Szła zwykle szybko, a pomimo to chód jej falisty, miał rodzaj rytmu; nie było w nim znać wahania, ani gwałtowności, zdawała się płynąć lekka, chociaż niepowiewna, pewna siebie, jednak pełna miękkości i wdzięku.

Był to wdzięk dziwnego rodzaju, uderzający tylko pewne umysły i niektóre oczy, nawykłe szukać przedewszystkiem harmonji, wyrazu, myśli.

W skromnej, czarnej wełnianej sukni, panna Joanna zdawała się strojniej ubraną, niż grono innych kobiet świecących różnobarwnemi szatami.

Przeszła pomiędzy niemi rozdając w około obojętne uśmiechy, pożegnania i uściśnienia ręki.

W tych drobnych powszednich czynnościach i słowach pełnych największej prostoty, dostrzegałem ciągle ten czarujący wdzięk, który coraz bardziej przykuwał do niej moje oczy.

Wyszła z salonu, a ja powróciłem do tej kanapki, gdzie siedziała przed chwilą i usiadłem sam jeden na miejscu, które naprzeciw niej zajmowałem przed chwilą.

Gotówby kto pomyśleć, że pokochałem się w pannie Joannie.

Otóż nie, nie przyszło mi to wcale na myśl, ja wówczas przecież kochałem się w pięknej blondynce, a nawet podobno szalałem za nią — i jeźli dzisiaj znalazłem się na niedzielnym obiedzie u cioci, to tylko dlatego, że piękna moja blondynka najwyraźniej krzywiła się na mnie, żądając szmaragdowego garnituru, którego cena przechodziła już całkiem możność moją.

Usiadłem więc na dawnem miejscu naprzeciwko kanapki i minęło jakie pół godziny, a ja nie ruszyłem się z miejsca.

Kuzynek miałem dużo w towarzystwie owem, ale jakoś byłem z niemi w dość obojętnych stosunkach, dzięki zapewne wieściom o pięknej blondynce, które się tu dostały, a jakkolwiek twierdzą, że podobne usterki nigdy nie szkodzą nam w oczach kobiet, ja przecież mogłem się pochwalić najzupełniejszą niechęcią całego niewieściego grona, które patrzało na mnie szyderczo i ciekawie, trochę jak na zbrodniarza.

Jakkolwiek piękne, mniej piękne i brzydkie usta moich kuzynek, nie wypowiedziały tego nigdy wyraźnie, czułem dobrze ich potępienie wiszące nad sobą.

Cóż chcecie! Nie byłem takim jak wszyscy.

Zresztą, może i miałem tysiące wad, ale tę najgorszą, że wady i zalety moje nie były przykrojone według ogólnej formy, były moje własne.

Siedziałem więc samotny na dawnem miejscu. Nie, przepraszam, nie byłem samotny, naprzeciwko mnie siedziało widmo — może pięknej blondynki? — bynajmniej.

O blondynce i jej szmaragdach zapomniałem tak zupełnie w tej chwili, jak gdyby nie istniała wcale, lecz za to naprzeciw siebie widziałem drobną postać panny Joanny, porównywałem to, czem była dawniej, a czem stała się dzisiaj i przypomniałem sobie tysiące okoliczności z owych przed-dziesięcioletnich wakacyj.

A kiedy myśl moja przylgnęła do niej, zapytywałem samego siebie, jakie to koleje losu targały nią przez ten przeciąg czasu i wyrobiły z rozmarzonego, rozpieszczonego i wesołego dziecka istotę taką, jaką była w tej chwili.

Powtarzałem sobie rozmowę, nieco urywaną, nieco ekscentryczną, jaką mieliśmy z sobą i zauważyłem, że chociaż w zasadzie zgodziła się mówić tylko o sobie, nie powiedziała mi jednak w tym względzie nic a nic, nie przeszła ani o jedną linję po za ogólniki.

A jeżeli dziwnem w pannie Joannie wydało mi się wiele rzeczy, fakt ten już był najdziwniejszym i uderzył mnie nagle. Dlaczego ona nie mówiła o przeszłości swojej? czyż te lat dziesięć najważniejszych w życiu kobiety, przeszły bez śladu w jej myśli i sercu? Czyżby miała coś do ukrycia? Na samo to przypuszczenie zerwałem się z miejsca, jak gdybym nie chciał pozostawać sam na sam z podobnemi myślami.

Obejrzałem się po familijnem kole — nikt nie zdawał się zwracać uwagi na nieobecną — jak gdyby nie było jej tu nigdy, lub jak gdyby zapomniano już zupełnie o jej istnieniu.

— Gdzie poszła panna Joanna? — spytałem na chybił trafił jednę z kuzynek, która właśnie przed lustrem poprawiała ubranie.

---

milczenie ławek poczytywali za votum zaufania.

A propos owego rotum zaufania otrzymałem następujący wierszyk, który w całości przytaczam:

Niepoprawni zuchwalce krzyczą w niebogłosy
Że źle rządzą ci, którym zdaliśmy swe losy
Hola mędrko wie śmiali! warchoły, harubie! [1])
Wszakże jak Kuba Bogu, tak też i Bóg Kubie
Oni dla nas swą przyszłość *poświęcili* całą
I wysokie godności pełnią z głośną chwałą;
Biorą rocznie po dziesięć, dwadzieścia tysięcy,
Gotowi *z poświęcenia* brać nawet i więcej.
Więc, gdy oni *poświęceń* ciągle dążą torem,
Kraj również się powinien pokazać z honorem:
I *poświęcić* im w zamian za worka rujnację:
Koleje, naftę, przemysł i rzek regulację.

Autor tego wierszyka ma zupełną rację: oko za oko, ząb za ząb, poświęcenie za poświęcenie. Jeżeli cię niemiec zaprosi na szklankę piwa, to znaczy, że chce wypić dwie w twojem towarzystwie i że ty za tę drugą zapłacić powinieneś. Nic darmo; — przecież nawet p. Jerzy Moszyński każe sobie płacić za swoje «uwagi nad aspiracjami politycznemi,» w których dowodzi, że jedynie on, Piotr Skarga, Aleksander i Zygmunt Wielopolscy i Jan Kochanowski rozumieli się i rozumieją na polityce. Tenże sam pan Jerzy oburza się na Wielopolskiego Aleksandra, że nie kartaczował w dniu 8 kwietnia 1861 r. i uznaje za jedynego przedstawiciela Polski pana Zygmunta Wielopolskiego. Tenże sam wrescie pan Jerzy płodzi rymy w odpowiedzi autorowi aspiracyj (zapewne aby jeszcze więcej być podobnym do Kochanowskiego), nakłania «synów hetmańskich,» aby wstępowali do wojska, każe sobie za te wszystkie głupstwa płacić 30 centów i wyraża przekonanie, że posypią się na niego paszkwile z różnych obozów.

Otóż, biedny panie Jerzy, jest rzecz taka. W tych dniach przyszedł do mnie jeden z moich znajomych pan Karol i z oburzeniem prawił jak pewien młodzieniaszek na publicznem miejscu bluźnił Bogu i ojczyźnie. Oburzenie to, naturalnie i mnie się udzieliło, lecz zanim je wyraziłem, zapytałem się kto był ten młodzieniec?

— No ten... Józef Ski.

— Cha, cha, cha! panie Karolu! I pan się oburzasz? Wszak to rzezimieszek kieszonkowy, niedawno wypuszczony z kryminału.....

— Więc cóż z tego — czego się pan śmiejesz?

— To z tego, kochany panie Karolu — rzekłem w odpowiedzi,—że od rzezimieszka nie wymagam, aby czcił Boga i kochał ojczyznę, że za święte to są uczucia, aby w podobnie brudnych sercach mogły zamieszkiwać. Uspokój się pan, gdyby tylko złodzieje kieszonkowi bluźnili świętym sprawom, to stałyby one inaczej, aniżeli stoją. To smutne, że nietylko z nich rekrutują się bluźniercy...

Otóż, biedny panie Jerzy, gdyby broszura twoja nie okazywała wyraźnie rozstroju umysłowego, to mogłaby ona oburzyć i spro.

[1]) Ze słownika Przeglądu lwowskiego.

Kuzynka z pewną trudnością odwróciła wzrok od zwierciadła odbijającego jej długą postać, skrępowaną misternemi fałdami atłasów i aksamitów różnokolorowych.

—O kogo się pytasz?—rzekła pociągając jakąś upartą koronkę, która odsłaniała zamiast przysłaniać jej gors, oprawiony kwadratowem wycięciem sukni, niby ciemną ramą podnoszącą jego białość.

— O pannę Joannę — odparłem zniecierpliwiony spojrzeniem, jakie mi rzucała z pod spuszczającej się aż do brwi grzywki.

— O Joannę? A prawda, niema jej już — odparła z najwyższą obojętnością i jakby dla stwierdzenia faktu, obróciła się niby szukając oczyma po salonie, w ten sposób, by pokazać mi cały powab swojej opiętej figury.

Widok ten jednak był dla mnie zupełnie obojętnym. Ba, codzień przecież miałem sposobność podziwiać stroje mojej pięknej blondynki, które nawiasem mówiąc były stokroć świetniejsze i wyszukańsze od stroju mojej kuzynki.

Odszedłem.

Obojętność jej drażniła mnie, ona była przecież daleko bliższą krewną Joanny niż ja. Nie rozumiała, że chciałem się czegoś o niej dowiedzieć lub też mówić mi o niej nie chciała.

Kobiety w podobnych razach umieją być dziwnie niedomyślne.

Tymczasem udałem się prosto do gabinetu cioci, korzystając z tego, że zapanowała tam chwilowa cisza.

Ciocia siedziała nad jakąś wielką księgą, — koronkowy czepeczek zsunął się jej na ucho, a siwiejące włosy pod niespokojnemi dłońmi, pocierającemi czoło, straciły wiele ze swego symetrycznego układu. Okulary podniosła aż na brwi i wpatrywała się błyszczącemi jeszcze pomimo lat oczyma w małego staruszka w rudawej peruce, który kościstemi palcami przerzucał karty tej księgi z nerwowym pośpiechem.

— Czy niema tutaj panny Joanny? — spytałem dyplomatycznie, udając, że szukam nieobecnej.

Ale dyplomacja moja okazała się zupełnie daremną; bo ciocia nie zauważyła nawet ani mego wejścia, ani zapytania.

Powtórzyłem je po raz drugi.

Ciocia niecierpliwie ruszyła ramionami.

— Joasia — wyrzekła wrzescie — Joasia była tu dzisiaj — wszak prawda? Czy poszła już?

W tej chwili mały staruszek wykrzyknął tryumfalnie:

— Aha! Jak mówiłem pani, Hartman pisze w tem miejscu.....

Ciocia podskoczyła na kanapie i zwróciła się z młodzieńczą żywością do swego oponenta.

Nie było co mówić więcej o pannie Joannie. W obec Hartmana i jego filozofji panna Joanna istnieć przestała.

Wybiegłem z gabinetu.

W salonie wszyscy byli zajęci sobą; młodsze grono zebrało się obok fortepianu, gdzie jakaś panienka śpiewała cienkim i nieprzyjemnym głosem, cudną serenadę Gounoda. Mężczyźni grali w wista, kobiety robiły przegląd strojów.

Widocznie o pannie Joannie nie myślał nikt, wyjście jej nie zrobiło najmniejszej próżni w tem towarzystwie, do którego należała tylko przypadkowo.

Wreszcie, jeden z mężczyzn wstał z kolei od zielonego stolika i jakby nie mając co robić, nie przyłączył się do żadnej grupy i zaczął przewracać albumy leżące na stoliku.

Był to także mój kuzyn. Rodzina nasza, pod względem liczby przynajmniej, widocznie była błogosławioną i wśród dwudziestu kilku osób składających towarzystwo cioci, nie było ani jednej obcej.

Zbliżyłem się więc do pana radcy (nosił bowiem ten tytuł i miał powagę odpowiednią) i zapytałem najobojętniejszym głosem, na jaki się tylko zebrać mogłem:

— Dlaczego panna Joanna odeszła tak wcześnie?

Pan radca spojrzał na mnie — potem na obecnych, mocno wyłupiastemi oczyma, wydobył cygaro, obciął je starannie i odparł zawsze z należytą powagą:

— To jej zwyczaj, ona zawsze tak robi.

Słusznie czy niesłusznie, zdawało mi się, że te słowa zawierają jakąś tajemnicę.

— I dlaczegóż to? — zapytałem.

Okrągłe oczy mego towarzysza spoczęły na mnie nieruchome przez chwilę, jakby i on także z kolei zadawał mi toż samo pytanie.

— Aha! dlaczego? — powtórzył, wypuszczając w górę kłąb sinego dymu.

— Ależ ja się pytam — zawołałem usiłując pokryć niecierpliwość.

Pan radca namyślał się przez chwilę, jak gdybym mu przedstawił problemat, nad którym nie zastanawiał się dotąd nigdy.

— Zapewne ma jakieś zajęcie — odparł wreszcie.

Tyle wiedziałem i bez światłej pomocy mego szanownego kuzyna. Przekonałem się tylko, że w tem licznem zgromadzeniu

---

wadzić nietylko słowne ale więcej dotkliwe paszkwile. Ale od ciebie, biedny panie Jerzy, nikt nie wymaga zdrowych poglądów i rozumnego patrzenia na sprawy narodowe. Uspokój się — gdyby tylko tacy jak ty, chorzy umysłowo, o kartaczowaniu i o posłannictwie margrabiego Zygmunta mówili i pisali, to bluźnierstwa przeciw narodowi przeszłyby bez skutku. To smutne, że nietylko z twoich kolegów, biedny panie Jerzy, bluźniercy się rekrutują.....

Wracając jednak do poświęceń, zaznaczyć muszę, że od chwili kiedy pan Artur Potocki postanowił nie ofiarowywać się dla kraju, dwóch kandydatów jednocześnie pragnęło go zastąpić. Trzeba przyznać, że w tym wypadku poświęcenie było rzeczywiste. Nie małej dozy własnej abnegacji potrzeba, aby pozwolić zachwalać się np. swojemu ojcu, bez obawy, że ta śmieszność rozniesie się po świecie. Mnie pamiętam raz tylko przed moją narzeczoną, moja ś. p. ciotka pochwaliła, że mam równie dobre jak ona serce i że za lat kilka będę kubek w kubek do niej podobny — i co powiecie moi państwo? o mało, że przez tę pochwałę nie zostałem starym kawalerem. Otóż o los pana Jana Popiela mocno się obawiałem, bo kiedy aż ojciec musi świadczyć o dobrem sercu i dobrej głowie syna, to jakoś djabelnie wydaje się kuso z tem sercem i z tą głową. Nie uprzedzajmy jednak wypadków, boć pan Popiel może być od wielu innych lepszy, a w każdym razie wolę go od pana Struszkiewicza, co rano trzymał ze «Sztandarem,» w południe przysięgał wieczną miłość «Reformie,» a na podwieczorek smalił cholewki do «Czasu.» Ten rzeczywiście gwałtownie pragnął poświęcić się wszystkim stronnictwom, niepomny, że wielu mężczyzn jednej damie służyć może, ale jeden mężczyzna wiele dam obsłużyć tylko w Turcji potrafi.

Oj! źle się dzieje z naszemi stronnictwami. Miałem szczęście kiedyś zauważyć, że w Krakowie oprócz stronnictw Hawełki, Wentzla i Fuchsa, najsilniejszem i najlepiej zorganizowanem jest stronnictwo panny Stachowiczównej. W ostatnim miesiącu podniosło nadzwyczaj głowę stronnictwo panny Bocskaj i byłoby przyszło prawdopodobnie do walki, gdyby piękne przywódczynie stronnictw nie opuściły Krakowa. Po ich odjeździe ciężko będzie stworzyć jakiekolwiek stronnictwo i stańczyki zjedzą nas na śniadanie. Bo niech tam Reforma daruje, ale założenie stronnictwa Arabiego-paszy mimo jej usiłowań niema szansy powodzenia. Cała nadzieja jeszcze w p. Aloizym Teleżyńskim i podpisanym kronikarzu, że przywieziemy z Przemyśla jaki nowy projekt organizacji stronnictwa i dziennik ku temu celowi założymy.

Ale, ale... Byłbym o najważniejszej rzeczy zapomniał: Pan Marjan Sokołowski (pisze Czas) przebywa ze swoją rodziną w Zegiestowie. Pan Józef Wątróbski także, ale bez rodziny.

K. B.

krewnych, Joanna nie liczyła ani jednej duszy przyjaznej.

Wówczas opatrzyłem się ja także, iż w towarzystwie tem nie miałem co robić i porzucając tajemniczo zadumanego radcę, filozofującą ciocię i zalotną kuzynkę, wysunąłem się niepostrzeżony.

Zdobyłem sobie jednak adres panny Joanny i proszę wierzyć, nie bez trudności; mieszkała gdzieś na końcu świata, na Hożej ulicy. Doprawdy nie wiem nawet po co brałem ten adres, nie miałem zamiaru odwiedzić jej, nie zapraszała mnie do siebie, nie upoważniała niczem do odnowienia dawnej znajomości. Cóż mnie ona wreszcie obchodziła? Przez dziesięć lat żyłem wybornie bez jej wspomnienia. A jednak, nie — na przekor samemu sobie, czułem, że w tej chwili obchodziła mnie ona więcej daleko niż chciałem to przyznać.

Była to niedorzeczność.

Zapaliłem cygaro wychodząc od cioci. Czas był prześliczny; noc marcowa błyszczała tysiącem gwiazd, powietrze chłodne i surowe jeszcze, miało przecież jakieś wiosenne powiewy. Miasto wrzało ruchem. Nie miałem co robić z resztą wieczoru. Czułem jakąś potrzebę ruchu, powietrza, przestrzeni.

Są w życiu chwile, gdy w piersiach odzywają się znienacka jakieś struny nieznane, zdwajają bystrość zmysłów i odbierane przez nie wrażenia podnoszą do dziwnej potęgi.

Byłem w jednej z chwil takich; drżące promienie gwiazd budziły w sercu mojem tęsknoty niepojęte, myśl rozpływała się w błękitach, a fale krwi uderzały mi do skroni potokiem myśli szalonych. Jak ów znany bohater Juljusza, czułem za trzech ludzi przynajmniej i żyłem potrójnie. Cała młodość moja, jakby nagle zbudzona ze snu, kipiała mi w piersi.

Szedłem zrazu szerokiemi ulicami miasta, — wreszcie zboczyłem na węższe i mniej ludne, aż... sam nie wiem jak się to stało, iż znalazłem się na Hożej ulicy.

Kiedy już byłem tutaj, dlaczegoż nie miałem zobaczyć przynajmniej domu, w którym panna Joanna mieszkała. Był to cel przechadzki — nic więcej.

Rzadkie latarnie zaledwie rozpraszały ciemności. Ulica powoli zmieniała się niby w przedmieście, niby w wiejskie ustronie. Z za parkanów przeglądały szkielety drzew bezlistnych, wśród nich przeświecały gdzie niegdzie, okna dworków i pałacyków, jak oczy jaskrawe w pośród ciemności.

Cisza tej dzielnicy, kontrastowała dziwnie z gwarem i ruchem napełniającym środkowe dzielnice miasta, nawet dalekie turkoty już tu nie dochodziły. Czasami tylko pies zaszczekał lub kogut odezwał się przeraźliwem pianiem.

Szukać numeru po nocy było zupełnie daremnym mozołem, a zresztą, na cóżby mi się to przydało? Nie myślałem bynajmniej składać, o tej zwłaszcza porze, niewczesnej wizyty pannie Joannie; przecież, przechodząc koło domów, z których jedne opierały się frontem o ulicę, drugie stały w głębiach ogrodu, nie mogłem się powstrzymać od przypuszczeń. Przypuszczenia nic nie kosztują,— nie obowiązują do niczego.

Jeden z takich domów, piętrowy, ozdobiony balkonem, obrośnięty cienkiemi prądkami dzikiego wina, zwrócił moją uwagę.

Na dole, okiennice były szczelnie pozamykane, ale w górze płonęło światło. W dwóch oknach szczególniej, przysłonionych białemi firankami, światło to było dyskretne i przyćmione.

Oświecone okna mają zawsze jakąś ponętę, budzą chęć zajrzenia po za te jasne szyby do wnętrza mieszkań i życia innych ludzi, podpatrzenia ich, jakiemi też są sami dla siebie — bez świadków.

Znam jednego powieściopisarza, który bez ceremonji używa wszelkich możliwych sposobów, ażeby zadość uczynić takiej ciekawości. (C. d. n.)

USTĘP Z ŻYCIA MICKIEWICZA.

UWIĘZIENIE I WYROK WYGNANIA.

Napisał

Dr. Teofil Ziemba.

(Ciąg dalszy) [1].

III.

Nie możemy na tem miejscu wdawać się w szeroki opis całego śledztwa i postępowania Nowosilcowa i tych wszystkich, którzy mu w tem dziele pomagali. Jestto ponury obraz, stanowiący część smutnej i bolesnej naszej historji porozbiorowej. Zresztą wypadki te opisywano już kilkakrotnie, a niewątpliwie najdokładniej zebrane one w znanem dziełku J. Lelewela p. t. *Nowosilców w Wilnie.* Trzecia część «*Dziadów*» według słów samego poety jest także «sumiennym» ich opisem i może służyć, jako uzupełnienie tego, co opowiedział Lelewel [2]).

Mickiewicz, który w tym smutnym dramacie tak ważną odegrał rolę, nie przesadził zapewne, gdy w przedmowie do III. części Dziadów tak go osądził:

«Wszyscy pisarze, którzy uczynili wzmiankę o prześladowaniu ówczesnem Litwy, zgadzają się na to, że w sprawie uczniów wileńskich było coś mistycznego. Charakter mistyczny, łagodny ale nie zachwiany Tomasza Zana, naczelnika młodzieży; religijna rezygnacja, braterska zgoda i miłość młodych więźniów; kara boża sięgająca widomie prześladowców, zostawiły głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami zdarzeń; a opisane zdają się przenosić czytelników w czasy dawne, czasy wiary i cudów.»

Nie dziw tedy, że pod wpływem takich wypadków i «skutkiem owej rezygnacji religijnej» o której wspomina sam poeta, odbyło się i w jego życiu wewnętrznem niezmiernie ważne przeobrażenie. Wszakże sam poeta oznaczył chwilę tego przeobrażenia w owej scenie, gdy «więzień» pisze węglem znane z «Dziadów» wyrazy łacińskie a znaczące po polsku:

Gustaw umarł 1823 1 listopada, (a z zdrugiej strony) *Tu urodził się Konrad 1823 1 listopada.*

Napis ten ma wielkie i dla nas znaczenie, bo tłómaczy on nam jak z marzącego, zakochanego a nawet chorobliwego Gustawa, jakim widzieliśmy dotąd naszego poetę, wyrobił się pod wpływem zdarzeń, ów Konrad, którego

Miłość nie na jednym spoczęła człowieku,
Jak owad na róży kwiecie.
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku.

Rzecz dziwna! samotne owo więzienie wydało w ten sposób dobre dla naszego poety skutki, charakter jego skrystalizował się w tej szkole cierpienia, duch zmężniał i wyszlachetniał. Sam też niewątpliwie tak rzecz pojmował, skoro w «Prologu» do III. części Dziadów następujące słowa włożył w usta «Anioła:»

My uprosiliśmy Boga,
By cię oddał w ręce wroga.
Samotność mędrców mistrzyni;
I ty, w samotnem więzieniu,

[1]) W numerze poprzednim na str. 7 przy samym końcu rozdziału I. opuszczono następujące słowa, które dla jasności myśli dodać należy: *zdawały się wróżyć jeszcze świetniejszą uniwersytetowi przyszłość.* (Przypisek autora).

[2]) Mniemanie, jakoby w „Dziadach“ przedstawienie scen wileńskich z r. 1823 było więcej poetyczne, niż zgodne z prawdą, odparł już dawno Aleks. Chodźko. (Rocznik Tow. lit. w Paryżu r. 1868).

Jako prorok na pustyni,
Dumai o twem przeznaczeniu.

Jakoż w istocie według świadectwa Domejki, który wraz z Mickiewiczem zamknięty był w klasztorze Bazyljanów, poeta nasz w ciągu swego blizko całorocznego więzienia okazywał rezygnacją, spokój i stałą swobodę ducha, jakiej rzadko dostrzegano w dawniejszem jego usposobieniu [1]). W jednym z listów do Czeczota pisze (w r. 1827) sam o sobie, że «*zaczął być wesół u Bazyljanów*» (Listy, wyd. 4-te, t. I. 22). Do tej swobody ducha przyczyniał się zresztą i wesoły nastrój więziennych jego towarzyszy, świadczący najlepiej o poczuciu ich niewinności. Jeden z nich (Ignacy Domejko) po wielu jeszcze latach tak zajmujący podał opis owych dni u Bazyljanów przepędzonych, że uważamy za rzecz potrzebną powtórzyć go dosłownie na tem miejscu.

Oto wyjątek z pięknego listu o „*Filaretach i Filomatach*:"

«Północ była dla nas wschodem słońca; zbieraliśmy się w celi Adama i aż do świtu przepędzaliśmy noce na rozmowie cichej, ale nie smutnej. Freyend przyrządzał herbatę i nas rozśmieszał. Kto dniem pierwej był zawołany na śledztwo, przynosił nowiny, jakie uzbierał w sali i na ulicy. Ksiądz Lwowicz na drugi dzień po uwięzieniu, spadł przechodząc nocą korytarzem ze schodów i był przez miesiąc niebezpiecznie chory; dlatego poźniej od innych począł należeć do naszych nocnych schadzek i pamiętam, kiedy pierwszy raz o północy wszedł do nas, jak nas zabawił i rozczulił, mówiąc z wyciągniętemi rękami poważnie: «Kozy, ucieszne kozy, ma trzodo jedyna.»

«W tej celi na nowy rok (1824) czytał nam Adam swój piękny wiersz: «*Skonał rok stary*,» a z jutrzni, w noc Bożego narodzenia [2]), dochodziła nas przy wtórowaniu dalekiego organu przytłumiona pieśń «Przybieżeli pastuszkowie,» która to pieśń przenosiła nas w progi domowe, gdzie po nas matki i siostry płakały. Zdarzyło się też, że jednej nocy o pierwszej godzinie przyszło policmajstrowi zwiedzić nasze więzienie; szyldwachy spały, my skupieni w izbie Adama, piliśmy spokojnie herbatę; wtem rozruch na korytarzu, szczęk kluczy i karabinów. Przestraszony podoficer zdobył się na koncept, że odrazu nie mógł trafić na klucz do drzwi, które wiodły do naszego korytarza. Policmajster pękał ze złości, ale zyskaliśmy minutę czasu i w momencie, kiedy wysadził drzwi, już każdy z nas był w swojem łóżku.»

Było to więc zupełnie zgodnie z tem, co mówi Adolf w III. części «*Dziadów*:»

Ront musi do wrót długo pukać,
Dać hasło i odebrać, musi kluczów szukać;
Potem długi korytarz... Nim nas ront zacapi,
Rozbieżym się, drzwi zamkną, każdy padł i chrapi.

W czasie tego, więcej niż półrocznego więzienia, czytał Mickiewicz wprawdzie wiele, gdyż dostarczanie książek nie było zabronionem, ale, jak powiada Domejko, oprócz pięknego wiersza: «Skonał rok stary» nic w tym czasie nie napisał. Wypadło by tu chyba tylko zaliczyć improwizację do Aleksandra Chodźki, która powstała także w klasztorze Bazyljanów [1]), oraz może i «Sen» (z Byrona), napisany w Wilnie w r. 1824.

Pomimo, że tak długo trwało już śledztwo, że używano głodu i kar cielesnych, aby wymusić wyznania jakich przewinień politcznych, nie zdołano przecież wykryć nic tak bardzo kary godnego. Przekonani o swej niewinności więźniowie znosili wprawdzie dość wesoło przykre swe położenie, ale sprawa się przewlekała i więzienia zapełniały się coraz więcej.

Aby więc zapobiedz dalszym prześladowaniom, postanowił szlachetny Zan wziąść całą odpowiedzialność na siebie, kierując się temi samemi względami, które mu włożył w usta autor Dziadów (III. cześć).

. . . Bronić się daremnie:
I śledztwo i sąd cały toczy się tajemnie,
Nikomu nie powiedzą, za co oskarżony,
Ten co nas skarży, naszej ma słuchać obrony;
On gwałtem chce nas karać: nie unikniem kary..."
Został nam jeszcze środek smutny — lecz jedyny;
Kilku z nas poświęcimy wrogom na ofiary,
I ci na siebie muszą przyjąć wszystkich winy.
Ja stałem na waszego towarzystwa czele:
Mam obowiązek za was cierpieć przyjaciele;
Dodajcie mi wybranych jeszcze kilku braci,
Z takich, co są sieroty, starsi, nieżonaci,
Których zguba niewiele serc w Litwie zakrwawi,
A młodszych, potrzebniejszych z rąk wroga wybawi.

Jednak pomimo, że Zan to postanowienie istotnie wykonał, pomimo, że Jan Czeczot i Adam Surin oświadczyli gotowość podzielania jego losu, śledztwo przecież nie zbliżało się do końca.

Przedewszystkiem pragnął jeszcze Nowosilcow mieć w swoich rękach Franciszka Malewskiego, którego mu wskazano jako wice-prezesa Filaretów. Jakoż dopiął tego istotnie. — Bawiący w Berlinie Malewski, został sprowadzony do Warszawy, aby przed samym W. księciem Konstantym zrobić zeznania. Wtenczas dopiero wyszło na jaw istnienie towarzystwa filomatów, o którem dotąd nawet Nowosilcow nic nie wiedział. Malewski zeznał W. Ks., że on sam dał początek towarzystwu temu, ktorego członkowie byli dopiero założycielami filaretów. Ta otwartość wyznania i określenia tych związków, jako wyłącznie naukowych i moralnych, była powodem, że W. książe przyrzekł Malewskiemu szybkie zakończenie śledztwa i nawet istotnie żądał tego od Nowosilcowa. Mimo to na żądanie tego posłano Malewskiego do Wilna, gdzie znowu przez kilka tygodni prowadził z nim śledztwo Nowosilców, nie mało tem zdziwiony, że Malewski tak samo, jak już pierwej Zan podawał się za pierwszego twórcę tajemnego związku. Dopiero gdy Malewski, naleganiami swego ojca skłoniony — odstąpił od pierwotnych swych zeznań, uspokoił się Nowosilcow i na żądanie W. księcia postanowił zakończyć tak długo trwające śledztwo.

Znaczna część uwięzionych [2]) wypuszczoną została na wolność z końcem kwietnia 1824 r., a tylko 20, których uznano za najwinniejszych, między tymi i Adama Mickiewicza, zostawiono jeszcze w więzieniu. W kilka tygodni potem (z końcem maja lub początkiem czerwca) — i tych 16 wypuszczono za poręczeniem z więzienia, chociaż pozostawiono ich pod najściślejszym dozorem policyjnym. W więzieniu pozostali tylko jako trzej naj-

---

[1]) Przez cały czas więzienia Adam, wyjąwszy wiersz „Skonał rok stary," nic nie pisał, ale czytał wiele i był bardzo towarzyski, przyjemny w rozmowie; niekiedy się zamyślał i milczał, ale był spokojny.

[2]) Młodzi więźniowie najczęściej gromadzili się w celi Adama, a jeden z nich Frejend tłómaczy to w „Dziadach" w sposób następujący:

Wiecie co, pójdźmy lepiej do celi Konrada.
Najdalsza jest, przytyka do muru kościoła;
Nie słychać stamtąd, choć kto śpiewa albo woła
Myślę dziś głośno gadać i chcę śpiewać wiele;
W mieście pomyślą, że to śpiewają w kościele:
Jutro jest Narodzenie Boże.

[1]) Według pamiętników Jundziłła lista Filaretów obejmuje 113. („Obrazki litewskie." Sobarri str. 87 i 88).

[2]) Nie potrzebujemy tu dodawać, że daty, podane w wydaniach Mickiewicza, są w wielu miejscach mylne. Podobnie i improwizacja ta, jeżeli powstała u Bazyljanów, nie może odnosić się do r. 1825.

bardziej obwinieni Tomasz Zan, Jan Czeczot i Adam Surin; — czwartym zaś był małoduszny Jankowski, za którego nikt nawet z najbliższych jego krewnych ręczyć nie miał ochoty. —

IV.

Dla uzupełnienia powyższego obrazu wspomnimy na tem miejscu w krótkości i o tych przykrościach i prześladowaniach, jakich w owym czasie doznawali profesorowie uniniwersyteccy.

Rozumie się, że doznawali tego przedewszystkiem ci, których najbardziej ceniła młodzież i których wykłady największem cieszyły się powodzeniem. Do takich zaś należał przedewszystkiem Lelewel, na którego lekcje chodził urzędnik policyjny;—ksiądz Michał Bobrowski, profesor pisma św. i znakomity kaznodzieja, Ignacy Daniłowicz, profesor prawa krajowego. Szczególniej zaś starano się dokuczać Józefowi Gołuchowskiemu, który dopiero od września 1823 [1]) zasiadł na katedrze filozofji. Już z tego samego powodu nie mógł on na zawiązane już dawniej związki Filaretów wielkiego wywierać wpływu, ale sama okoliczność, że wykłady jego zgromadzały wielką liczbę słuchaczy, wystarczała, ażeby go uznać niebezpiecznym. Gołuchowski zaczął od wykładów antropologji, która nawet i kobiety bardzo zainteresowała, a o powodzeniu tychże pisze Lelewel w «Listach» swoich:

. . . «Moja sala byłaby dla niego ciasna, osiadł w daleko szerszej, a chociaż to jest chimiczna i pełno swędu, nic jednak płci pięknej odstręczyć nie może, ciasno mu w tej sali».

Nie dość, że żądano od Gołuchowskiego, aby skrypta swe przed wykładem oddawał do cenzury, nie dość, że na lekcje jego wysyłano urzędnika policyjnego, zmieniono jeszcze wbrew prawu, a nadto mimo woli i wiedzy jego godziny wykładowe, tak, że w zamiarze odstraszenia słuchaczy przeniesiono lekcje popołudniowe 3—4 (wieczorne) na godzinę od 7 do 8 rano. — Pomimo, że było to w zimie (w styczniu), zebrało się przed uniwersytetem już mnóstwo słuchaczy, ale znowu Gołuchowski widząc naruszenie swego prawa, uznał za stosowne nie przyjąć takiej godziny wykładowej i w ten sposób dnia 29 stycznia przerwanym został kurs filozofji.

W ogóle trzeba powiedzieć o ówczesnych profesorach uniwersytetu wileńskiego, że w tych ciężkich dla Wilna czasach, zachowali się oni z wielką godnością. Nie wszyscy zapewne (np. Twardowski, Znośko) okazali w równie wysokim stopniu moc charakteru i cywilną odwagę, ale w każdym razie takich, którzy wystąpili nieprzyjaźnie względem młodzieży, było bardzo mało.

Do tych właśnie wyjątków należał przedewszystkiem znany, z III. części Dziadów prof. chirurgji *Wacław Pelikan* pochodzenia czeskiego [2]), który pragnąc rektorstwa, w istocie wielkie oddawał Nowosilcowi usługi. Także profesor fizyologji doktor August Becu, ojczym Juljusza Słowackiego dał powód swojem częstem u Nowosilcowa bywaniem do wielce hańbiących go podejrzeń, jakoby oskarżał przed nim młodzież i własnych zdradzał kolegów. Mniemanie to było naówczas w Wilnie dość powszechne, zwłaszcza między młodzieżą, która bywając w księgarni Zawadzkiego, naprzeciw mieszkania senatora, widziała nieraz, jak Becu go odwiedzał.

Wprawdzie tłomaczy to Jundziłł w swych Pamiętnikach [3]), że z jednej strony Nowosilcow, poznawszy niezwykłe towarzyskie przymioty tego profesora, ciągle i usilnie go do siebie zapraszał, z drugiej zaś, starający się właśnie wówczas o emeryturę Becu, powolnym był tym zaproszeniom.

Jednak nie samo tylko bywanie u Nowosilcowa było powodem późniejszego ustalenia hańbiącej opinji; głównie może przyczyniła się nagła i niezwyczajna śmierć profesora, którą wielu uważało za widomą karę bożą. We wrześniu bowiem r. 1824, w tym dniu i prawie w tej samej chwili, kiedy Pelikan już jako rzeczywisty rektor powracał z Petersburga, piorun zabił doktora Becu we własnem jego pomieszkaniu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

[1]) Listy Lelewela. Tom I.

[2]) Syn Czecha, przybyłego do Polski, który z początku był muzykiem w orkiestrze hetmana Ogińskiego, później burgrabią jego pałacu, a ostatecznie zajmował się handlem winnym w Słonimie, w spółce z ziomkiem swym Nowakiem.

[3]) Urywki podane w „Obrazkach litewskich" (Sobarri) str. 204.

Z ETNOGRAFJI KRAJOWEJ

przez

Romana Zawilińskiego.

I.

Na drodze prowadzącej z Nowego Sącza do Bochni, tuż pod Limanową, leży wieś Sawliny. Sawliniacy mają się w ogóle nie źle, jak sami o tem wyśpiewują w krakowiaku:

Sawliniácy chłopcy
Piją piwko w nocy;
Piją rozléwają,
Bo pieniążki mają.

Wysyłają też synów do szkół wyższych, a szczególnie do gimnazjum Nowosądeckiego, pragnąc jak w ogóle lud polski, by się doczekać z nich księży na chwałę Panu Bogu a sobie na pożytek. Od jednego z nich dowiedziałem się o kilku ciekawych zwyczajach zachowywanych w Sawlinach, które poniżej podaję.

Dzień przed wilją Bożego Narodzenia wysyłają gospodarze parobków do lasu «na połaźnice.» Są to małe jodełki, w miastach na «boże drzewka» używane, u ludu zwane również «choinkami.» We wilją rano częstują się wspólnie wszyscy w chałupie wódką, łamią opłatkiem i jedzą śniadanie, przy którem dawniej mieli śpiewać «różne» śpiewki, ale teraz już to zaginęło. Około południa odwiedzają się nawzajem sąsiedzi, częstują wódką, i dziękują Bogu, że im tego dnia dał doczekać. Wieczorem przybijają «połaźnice» nade drzwiami każdej izby, stajni i stodoły, i ścielą słomę po wszystkich izbach; na stole kładą siano z chlebem i opłatkiem, na tem stawiają miskę z jadłem i zasiadają do obiadu. Gdy połowę potraw zjedzą, dziewki wybiegają na dwór i nadsłuchują, w której stronie pies szczeka, sądząc, że z tej strony «kawaler» przybędzie. Po «jutrzni» (a raczej mszy pasterskiej) parobcy kolędują, dziewki zaś biegną boso do rzeki i myją się we wodzie, «żeby nie miały bolàków» tj. wrzodów na ciele; tej wody przynoszą sobie również do chałupy, a rano w Boże Narodzenie włożywszy w nią jaki pieniądz srebrny, myją się nią wszyscy, aby byli biali jak ten pieniądz.

Wracając w Boże Narodzenie po nabożeństwie potrząsają w sadach drzewami owocowemi, aby dużo wydawały owocu [1]). Gospodarz stara się o to, aby albo on, albo syn jego wszedł pierwszy do chałupy. Wszedłszy rozsypują wszędzie owies, w sieni w tym celu przygotowany i mówią: «Niech bedzie pochwálony Jezus Krystus!»

Na scęście, na zdrowie, na to Boze Narodzenie,
Żeby się darzyło na każdem miejscu wszystko stworzenie.
W komorze, w oborze,
Co dej Panie Boże.

Po obiedzie przynoszą parobcy równej słomy żytnej ze stodoły i rzucają pod «stragarze,» a ile ździebeł utkwi w powale, tyle będzie w roku przyszłym kóp żyta [2]).

[1]) W Brzezinach, w powiecie Ropczyckim, wiążą w tym samym celu drzewa powrósłami ze słomy, którą rzucano kopy, zaraz po wieczerzy we wilją.

[2]) W Brzezinach czynią to samo po wieczerzy we wilją, jak wyżej wspomiano.

Wczas rano («dodnia») w dzień św. Szczepana przychodzą sąsiedzi w odwiedziny, najczęściej zaś «kawalerowie» i przynoszą rożne trunki ze sobą. Wchodząc do chałupy mówią: Niek bedzie pochwálony Jezus Krystus!»

Na scęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie,
Żeby się darzyło wszystko stworzenie:
Kurki cubate
Gęski siodłate [3])
Panny pękate
Wiele pępusków, tyla cielusków,
Wiela pętlicek, tyla cielicek,
W kazdem kątku
Po dziesiątku
A na piecu troje.

Dzień przed Nowym Rokiem pieką gospodynie t. z. «szcodraki lá nowych leciąt», ktore wieczór lub «wela» północy przychodzą. Podeszedłszy pod okno izdebki, rzucają na okno owsem i śpiewają:

Na scęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok,
Żeby sie rodziuła pszenicka i groch,

poczem następują kolendy. Gospodarz puszcza ich do chałupy, a oni laskami wybijają ze «stragarzy» kopy [4]). Dają im «szcodraki» — często ich braknie, a wtedy «lecięta» odchodząc śpiewają:

Sarna zepsuła zarna
Gospodyni z dziéwką, kukiołki wyzarła.

Jak już z powyższych piosnek zauważyć można było, najzwyklejszą formą pieśni jest krakowiak. Przytoczę jeszcze kilka charakterystycznych, z wielu mi podanych.

Jechałem z Krakowa złamałem dwa koła
Wiózem łobarzanki, dlá moji kochanki.

Jechálem z Wielicki, kamycki, krzemycki,
Pójdze Maryś do mnie, dám ci na trzewicki.

W Krakowie, we Lwowie bili się panowie,
Kcieli mi porąbać cápeckę na głowie.

Gdzie ty jedzies Jasiu? — Do Krakowa Kasiu,
Po jaki potrzebie? — Po wiánek lá ciebie.
Nie kupuj mi wiánka, bo ja nie ślachciánka,
Kup mi pierścień złoty, krakoski roboty.

Uwiązę konika w lesie u jawora,
Pódę sie zalécać Marysi do dwora.

Stamte strony Raby, kąpały sie baby,
Jedna drugą wlekła za nogę do piekła.

Śtyry mile lasu samy osicyny
Niémać tu w Sawlinak porząmné dziéwcyny

Śtyry mile lasu samego jałowca,
Niémać tu w Sawlinak porząmnego chłopca.

Śpiewał by ja śpiewał, ale nié mám nuty
Wzięni mi ją sewcy, zrobili z nié buty.

Napotykamy atoli i inną formę, jak naprzykład:

A ja sobie parobecek, a já sobie horasa (?)
Zaprzągnę ze śtyry wołki, pojadę se do lassa.
Já do lassa nie pojadę, bo ja mała chłopcyna,
Drzewo by mnie przywaluło, płakałaby dziewcyna.

---

[3] Biełe spodem, wierzchem popielate.
[4]) Ten sam zwyczaj w Brzozinach.

Pieśń zwycięzkiej miłości.

I. TURGIENIEWA.

Przełożył A. Zenoni Kleczkowski.

„Wage Du zu irren und zu träumen!“
Schiller.

Oto, co wyczytałem w starym włoskim rękopisie:

I.

Około połowy XVI. wieku, mieszkali w Ferrarze, kwitnącej naówczas pod berłem swoich wspaniałych książąt, mecenasów sztuk i poezji, — dwaj młodzi ludzie, Fabiusz i Muciusz. Rówiennicy wiekiem, bliscy krewni, prawie nigdy się nie rozłączali, serdeczna przyjaźń łączyła ich od najwcześniejszego dzieciństwa, tożsamość losu utwaliła ten związek. Obaj należeli do najstarożytniejszych rodów, obaj byli bogaci, niezależni i bez rodzin; nawyknienia i skłonności mieli prawie jednakowe. Muciusz zajmował się muzyką, Fąbiusz malarstwem. Ferrara szczyciła się nimi jak najpiękniejszą ozdobą dworu, towarzystwa i miasta. Z powierzchowności jednakże nie byli do siebie podobni. Fabiusz był wyższy wzrostem, białej cery, blondyn a oczy miałał niebieskie; Muciusz przeciwnie, cerę miał śniadą, włosy czarne i w ciemnopiwnych jego oczach nie było wesołego blasku, na ustach tego ponętnego uśmiechu co u Fabiusza; jego gęste brwi spadały niemal na powieki, kiedy złociste brwi Fabiusza rysowały się cienkim łukiem na czystem i gładkiem czole. Muciusz i w rozmowie bywał mniej ożywionym; mimo to, obaj przyjaciele jednakowo podobali się damom, gdyż rzeczywiście byli oni uosobieniem rycerskiej galanterji i grzeczności.

W tymże samym czasie, mieszkała w Ferrarze dziewica imieniem Walerja. Uważano ją za jedną z pierwszych piękności w mieście, chociaż widywać ją można było bardzo rzadko, gdyż prowadziła życie odosobnione, wychodząc z domu tylko do kościoła i podczas wielkich uroczystości na ludowe zabawy.

Mieszkała ze swoją matką, szlachetną lecz niebogatą wdową, nie mającą więcej dzieci. Każdy ktokolwiek spotykał Walerję, doznawał uczucia mimowolnego podziwu i uprzejmego szacunku, tak skromną była jej postać, tak mało zdawało się wiedziała ona o sile swoich powabów. Niektórzy co prawda znajdowali ją cokolwiek za bladą, wyraz jej oczu prawie zawsze spuszczonych, uwidoczniał jakieś zamyślenie, a może nawet i bojaźń; na jej ustach rzadko gościł uśmiech i to przelotny, głosu jej prawie nikt nie słyszał; a jednak chodziła wieść, że głos miała prześliczny, że zamknąwszy się w pokoju, wczesnym rankiem, kiedy w mieście wszystko jeszcze drzemało, ona lubiła śpiewać stare pieśni, z akompaniamentem lutni, na której także grać umiała. Nie zważając na bladość cery Walerja kwitła zdrowiem, nawet starzy ludzie patrząc na nią musieli pomyśleć: o jak szczęśliwym będzie młodzieniec, dla którego rozkwitnie ten jeszcze zasklepiony w obsłonkach swoich, jeszcze nie dotknięty, dziewiczy kwiatek!..

II.

Fabiusz i Muciusz zobaczyli Walerję pierwszy raz na pysznej ludowej uroczystości, urządzonej z rozkazu księcia Ferrary na cześć znakomitych rycerzy przybyłych z Paryża, na wezwanie księżnej, córki króla francuzkiego Ludwika XII. Razem z matką siedziała Walerja na środku błyszczącej trybuny, urządzonej na głównym placu Ferrary, dla najszanowniejszych dam miasta. Obaj, i Fabiusz i Muciusz, w tym dniu namiętnie się w niej rozkochali, a ponieważ w niczem się przed sobą nie kryli, wkrótce obaj wiedzieli co się działo w ich sercach. Umówili się o wyna-

lezienie sposobu zbliżenia się do Walerji; i jeżeli ona zaszczyci którego z nich swoją ręką, to drugi bez szemrania zgodzić się ma z jej postanowieniem. W parę tygodni później, dzięki dobrej sławie, którą oba i słusznie posiadali, udało im się dostać do mało dostępnego domu wdowy, która pozwoliła im odwiedzić się. Odtąd prawie każdego dnia widywali Walerję i z każdym dniem ogień zapalony w sercach obydwóch młodzieńców stawał się silniejszym. Walerja żadnemu z nich nie okazywała więcej względów, lecz obecność ich widocznie była jej przyjemną. Z Muciuszem zajmowała się muzyką, a rozmawiała więcej z Fabiuszem,— jego mniej się lękała. Wreszcie obadwaj postanowili dowiedzieć się o swoim losie; posłali do Walerji list, w którym prosili ją o porozumienie się z matką i odpowiedź, którego z nich zechce uszczęśliwić swoją ręką. Walerja pokazała list matce wyznając, że radaby była pozostać panną, lecz jeżeli matka znajduje, że jej już czas pójść za mąż, to gotową jest oddać swą rękę wskazanemu przez matkę młodzieńcowi. Szanowna wdowa wylała trochę łez na myśl o rozłączeniu się z ukochanem dziecięciem, — jednakże odmówić konkurentom nie miała przyczyny; obydwóch uważała za godnych ręki jej córki, lecz potajemnie wolała Fabiusza. Na drugi dzień Fabiusz dowiedział się o swojem szczęściu; Muciuszowi pozostawało dotrzymać słowa i pogodzić się ze swoim losem. Tak też uczynił, lecz być świadkiem zwycięztwa swojego przyjaciela, swojego rywala, nie był w stanie. Sprzedał większą część swojego majątku i zebrawszy kilka tysięcy dukatów, udał się w dalszą drogę na wschód. Żegnając się z Fabiuszem przyrzekł mu, że powróci nie wcześniej aż poczuje, że ostatnie ślady namiętności w nim wygasną. Przykro było Fabiuszowi rozstawać się z przyjacielem dziecinnych i młodzieńczych lat, lecz radosne oczekiwanie blizkich rozkoszy zapanowało nad smutkiem; oddał się cały zachwytom podzielanej miłości.

Wkrótce ożenił się z Walerja i wówczas dopiero poznał całą wartość skarbu, którym go los obdarzył. — Posiadał on prześliczną willę, otoczoną cienistemi drzewami w blizkości Ferrary, tam więc zamieszkał wraz z żoną i jej matką. Świetlane dni dla nich nastąpiły. Małżeńskie pożycie rozjaśniło nowem zachwycającem światłem wszystkie przymioty Walerji. Fabiusz stawał się słynnym malarzem, już nie zwyczajnym amatorem, lecz artystą. Matka Walerji cieszyła się i dziękowała Bogu za szczęście córki. Cztery lata minęły im szybko, jak rozkoszny sen. Jednego tylko brakowało młodym małżonkom, jeden tylko smutek czasem im dokuczał: — nie mieli dzieci... lecz nadzieja ich nie opuszczała. Przy końcu czwartego roku, nawiedziło ich wielkie, tym razem rzeczywiste nieszczęście: matka Walerji umarła, parę dni tylko chorując. Wiele łez wylała Walerja, długo nie mogła pogodzić się z tą stratą. Minął rok jeszcze, życie upomniało się o swoje prawa i pociekło dawniejszem korytem. Aż oto, pewnego pięknego, letniego wieczoru, nikogo nie uprzedzając, powrócił do Ferrary Muciusz.

III.

Przez całe pięć lat po jego odjeździe, nikt nic o nim nie wiedział; wszystkie pogłoski umilkły, jak gdyby znikł z powierzchni ziemi. Kiedy Fabiusz spotkał swojego przyjaciela na jednej z ulic Ferrary, wykrzyknął najpierw z podziwu, potem z radości i natychmiast zaprosił go do swojej willi. W głębi parku posiadał on oddzielny pawilon, zaproponował więc przyjacielowi, aby w nim zamieszkał. Muciusz chętnie się zgodził i tegoż dnia zajechał do niego razem ze swoim służącym, niemym malajczykiem, niemym, ale nie głuchym, i nawet, sądząc po bystrym jego wzroku, bardzo pojętnym człowiekiem.

Język miał on wyrżnięty. Muciusz przywiózł ze sobą dziesiątki kufrów napełnionych różnorodnemi kosztownościami zebranemi w czasie długotrwałej swojej podróży po wschodzie. Walerja ucieszyła się z powrotu Muciusza, on ją powitał po przyjacielsku, wesoło lecz spokojnie; ze wszystkiego widać było, że dotrzymał słowa danego Fabiuszowi. W przeciągu dnia zdołał urządzić się w swoim pawilonie, porozkładał z pomocą malajczyka poprzywożone osobliwości: dywany, jedwabne tkaniny, atłasową i aksamitną odzież, broń, puchary, półmiski i kubki ozdobne wyciskami i emalją, złote i srebrne biżuterje z perłami i turkusami, rzeźbione skrzynki z bursztynu i słoniowej kości, butelki korzennych napojów, aromatyczne zioła, skóry zwierząt, pióra nieznanego ptactwa i mnóstwo innych przedmiotów, samo używanie których wydawało się tajemniczem i niezwykłem. W liczbie tych kosztowności znajdował się bogaty naszyjnik z pereł, podarowany Muciuszowi przez Szacha perskiego, za jakąś wielką usługę. Prosił on zezwolenia Walerji, ażeby mógł własnoręcznie włożyć jej go na szyję; — naszyjnik okazał się Walerji ciężkim i obdarzonym jakiemś dziwnem ciepłem; przylegał jak gdyby wpijał się w szyję. O zmierzchu, po obiedzie, siedząc na tarasie willi w cieniu oleandrów i laurów, Muciusz opowiadał swoje przygody. Mówił o zwiedzanych dalekich stronach, górach wyższych nad obłoki, pustyniach bez wody, o rzekach podobnych do mórz; mówił o olbrzymich budowlach i kościołach, o tysiącletnich drzewach, o tęczowych barwach ptaków; nazywał zwiedzane kraje i narody... coś bajecznego zdawało się w wyszczególnianiu tych nazwisk. Cały wschód znał on. Przejechał Persję i Arabję, gdzie konie szlachetniejsze i piękniejsze od wszystkich innych żyjących stworzeń, — przeniknął w głąb Indji, dosięgnął granic Chin i Tybetu, gdzie żywy bóg imieniem Dalaj-Lama gości na ziemi w postaci milczącego człowieka z wązkiemi oczyma. Cudowne były jego opowieści. Jak oczarowani słuchali go Fabiusz i Walerja.

Rysy twarzy Muciusza mało się zmieniły, cera od dzieciństwa śniada więcej jeszcze ściemniała; ogorzał pod promieniami bardziej palącego słońca, i oczy jego zdawały się cokolwiek więcej zagłębionemi, lecz wyraz twarzy stał się zupełnie innym, spokojnym i poważnym, nie ożywiającym się nawet podczas opowiadania o przebytych niebezpieczeństwach, nocą, w lasach, wśród ogłuszającego wycia tygrysów, lub we dnie, w pustyniach, gdzie podróżnika strzedz ma fanatyk duszący często innowiercę, na cześć swojego boga, pragnącego ofiar z ludzi.

Głos Muciusza także stał się cichszym i równiejszym, poruszenia rąk i całego ciała utraciły ruchliwość zwykłą Włochom. Z pomocą swojego sługi, niewolniczo zwinnego malajczyka, pokazał on przyjaciołom swoim kilka sztuk, których się nauczył od braminów indyjskich. Tak naprzykład poprzednio ukrywszy się za firanką, za chwilę ukazał się siedzącym w powietrzu ze skurczonemi nogami, lekko oparty tylko palcami na pionowo postawionej bambusowej trzcinie, co niemało zdziwiło Fabiusza a Walerję nawet przestraszyło. «Czyżby on został czarnoksiężnikiem?» — pomyślała. A kiedy zaczął poświstując na maleńkim fleciku wywoływać z zatkanego koszyka małe węże, kiedy ukazywały się ich ciemne i płaskie łebki poruszające żądłami, Walerja przestraszyła się ogromnie i prosiła go, ażeby jak najspieszniej pochował te wstrętne gady.

Przy kolacji Muciusz częstował swoich przyjaciół winem z okrągłej butelki z wysoką szyjką, — wino to było nadzwyczaj aromatyczne i gęste; złotawego, mieniącego się w zielonawy koloru, nalane w maleńkie jaspisowe kieliszki, dziwny jakiś blask wydawało. Smakiem nie przypominało żadnego z win europejskich, bardzo było słodkie i korzenne a wypite w tak małej ilości wywoływało we wszystkich członkach rodzaj miłej jakiejś niemocy, jakby przed zaśnięciem. Muciusz prosił przyjaciół o wypi-

cie kieliszeczka wina, sam także pił z nimi. Pochyliwszy się nad kieliszkiem Walerji coś szeptał i poruszał palcami, Walerja spostrzegła to, lecz jak w ogóle w całem obejściu Muciusza i w jego otoczeniu było coś dziwnego, coś niezwykłego, więc też i teraz pomyślała tylko: «zapewne przyjął w Indjach nową jaką wiarę, lub może takie tam mają zwyczaje.» Pomyślawszy jeszcze chwilkę zapytała go, czy nie przestał w czasie swoich podróży zajmować się muzyką?... W odpowiedzi, Muciusz rozkazał malajczykowi przynieść swoje indyjskie skrzypce. Skrzypce te były podobne do zwykłych, tylko zamiast czterech strun miały trzy; z wierzchu obciągnięte były niebieskawą skórą węża, — cienki trzcinowy smyczek podobny był do łuku a na samym jego końcu błyszczał ślicznie oszlifowany dyjament. Muciusz zagrał najpierw kilka rozpaczliwie, tęsknych, jak mówił narodowych piosenek, dziwnych, a nawet dzikich dla włoskiego ucha—metaliczny dźwięk strun żałośny był i słaby. Lecz kiedy rozpoczął ostatnią pieśń, głos skrzypiec nagle stał się silniejszym, zabrzmiał głośno i dźwięcznie; namiętna jakaś melodja płynęła z pod szerokich pociągnięć smyczka przecudownie mieniąc się, jak ów wąż pokrywający swoją skórą wierzch skrzypiec, i takim ogniem, taką tryumfującą radością błyszczała i zapalała, że Fabiusz i Walerja czuli rozkoszne bicie serca, a łzy zabłysły im w oczach. Muciusz z pochyloną nad skrzypcami głową, z pobladłemi ustami, z brwiami ściągniętemi w jedną linję, zdawał się być jeszcze bardziej skupionym i poważnym; brylant osadzony na końcu smyczka rzucał iskry światła, jak gdyby zapalony ogniem tej dziwnej pieśni. Muciusz skończył pieśń i chwilę jeszcze silnie przyciskał głową do ramienia skrzypce swoje, rękę ze smyczkiem machinalnie opuściwszy. «Co to jest?.. co ty nam grałeś?» — zapytał Fabiusz, Walerja nie mówiła ani słowa, lecz zdawało się, że cała jej istota potwierdza pytanie męża. Muciusz położył skrzypce na stole, zlekka potrząsnął włosami i z miłym uśmiechem odpowiedział: «Tę melodję... tę pieśń... usłyszałem raz na wyspie Ceylon, słynie ona tam między ludem, jako pieśń szczęśliwej, zwycięzkiej miłości.» — «Powtórz ją...» wyszeptał Fabiusz. — «O nie, teraz powtórzyć nie mogę... już pozno — odrzekł Muciusz, signora Walerja potrzebuje odpocząć i ja zmęczony jestem...» Przez cały dzień Muciusz zachowywał się względem Walerji z uszanowaniem, obojętnie może nawet, jak stary przyjaciel, teraz odchodząc ścisnął jej rękę bardzo silnie, palcami dotknął jej dłoni a tak bystro i natrętnie patrzył w jej twarz, że Walerja nie podnosząc powiek czuła na swej twarzy to spojrzenie i rumieniec okrasił jej policzki. Nic do niego nie powiedziała, nie miała siły cofnąć ręki z silnego uścisku, a kiedy wyszedł, spojrzała tylko na drzwi zamykające się za nim. Przypomniała sobie, że dawnemi laty wzbudzał on w niej jakąś obawę, obawa ta dotychczas nie była rozchwianą... Muciusz poszedł do swojego pawilonu; — małżonkowie udali się na spoczynek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zapiski T. Lipińskiego

Ciąg dalszy.

Wszczął się pożar wojny domowej w świętem zgromadzeniu Panien Kanoniczek. Ksieni p. Karsznicka, chcąc swoją powagę utrzymać, wydobyła pierwotne ustawy i zażądała, aby się zgromadzenie onych trzymało.—Wprawdzie panny kanoniczki odstąpiły znacznie od ustaw, każda żyje z osobnym, że tak rzekę dworem, przyjmuje gości, daje wieczory; stroją się, uczęszczają na bale i wszelkie światowe zabawy. Ksieni najwięcej tem na siebie obraziła, iż kazała zamurować osobne wejście, zostawując jeden wchód ogólny. — Dotknięte do żywego Kanoniczki, szukać zaczęły protekcji, ksieni zaś zasłaniając się, zakomunikowała komisji ośw. przepisy i ustawy fundatorki, oświadczając, że panny nabożeństwo zaniedbują itd. Ciekawe jest na czem się to skończy.

Radca stanu Szaniawski otrzymał gratyfikacji 50.000 złp. Za życia ś. p. cesarza był kilkakrotnie podawany napróżno, lecz tą razą miał za sobą dzielne ramię ks. Lubeckiego, który przedstawił go, iż stargał zdrowie na usługach publicznych. Poswięcenie się jego jest większe, gdyż stracił zupełnie dobre imię i reputacją. — Przedstawiony on był do nierównie większego wynagrodzenia, gdyż usiłowano mu wyjednać po 10.000 złp. pensji rocznej, jako dyrektorowi cenzury, a nadto za upłynione pięć lat sprawowanej tejże funkcji bezpłatnie, zaliczyć 50.000 złp. — czego wszystkiego cesarz odmówił. Jest to pierwsza gratyfikacja za rządu Naj. Pana.

Od lat kilku bawi tu ks. Lud. Czetwertyński. Powszechne jest mniemanie, iż z dawna w tej rodzinie musi być jeden niespełna rozumu — widać, że kolej przypadła na nasze książątko. Dziwactw jego i niedorzeczności nie myślę spisywać, powiem tylko o jego wielkiem zmartwieniu. Ubrał był sobie służącego jako strzelca, latał po mieście i szczycił się, że w całej Warszawie on tylko jeden ma strzelca galonowanego. Wtem, co za katastrofa! odbiera polecenie od W. Ks. a raczej zakaz trzymania strzelca, gdyż to jest W. Łowczego atrybucją. Traf zrządził, iż od kilku tygodni bawi tu Wład. Branicki, który jest W. Łowczym państwa ros.

Kwiecień. Wyżej wspomniona procedura sądowa, sprawiła poróżnienie między ministrem spraw wewn. Mostowskim, a skarbu ks. Lubeckim. Ostatni upierał się, aby taż procedura miała za zasadę odwieczne prawa litewskie; pierwszy zaś wraz z całą radą admin. utrzymywał, aby wziąść za wzór kodeks francuzki. Byłby możny nasz minister postawił na swojem, gdyby Nowosilcow, (który go nie lubi dla wziętości jaką ma u cesarza i który nie jest mu jak inni uległy i nadskakujący) nie był poparł zdanie Mostowskiego i oświadczył się wyraźnie przeciw Lubeckiemu. Procedura ta w tych dniach ukończona i posłana została pod zatwierdzenie cesarskie.

Dia 10 znaleziono między szychtami drzewa około 5 letnią dziewczynę, zamkniętą w skrzynce. Na jej jęki zgromadziło się dosyć ludu — dziecko opowiedziało, iż je żyd zamknął i zostawił. Wiadomo jest, iż odwiecznie w Polsce toczyły się od czasu do czasu sprawy, za przelaną krew dziecięcia chrześ., którą używać mają zabobonni żydzi do paschy — a właśnie teraz przypadają ich święta W. Nocne. Lecz jak dawniej, tak i teraz można zaręczyć, że się nic nie wykryje, lubo wzięto dziecko i jego rodziców na ratusz i poszukują żyda. Można być pewnym, że wszystko to napróżno — trudna z żydami sprawa.

Lubecki uparł się jednak przy swojem, a zdziaławszy swoją procedurę sądową, udał się do W. Ks. i tyle dokazał, iż polecone zostało radzie stanu jak najśpieszniej przełożyć ją na język francuzki i posłać do Petersburga. Ciekawość nasza jest w zawieszeniu, której cesarz sankcją przyzna.

Dnia 15 to jest w pierwszy dzień Świąt W. Nocnych, Zamojscy dawali święcone. Zgromadzenie było nader liczne i świetne; damy postrojone, a mężczyźni wyjąwszy kilku, wszyscy w mundurach. Ponieważ referen. Zamojska przed trzema dniami zległa była, a księżna Leonowa Sapieżyna jeszcze nie wyzdrowiała po połogu, przeto wszyscy wysiadali przed bramą i pieszo

przebywali dziedziniec. Było to bezpłatne widowisko dla ciekawych, podwójne zaś dla patrzących z okien pałacowych: patrzeć na defilujących w bogatych szatach, gustownych ubiorach i na ów gmin cisnący się w wielkiej liczbie do krat dziedzińca. W. Ks. tylko z księżną Łowicką zajechali przed pałac; po przywitaniu się z gospodarstwem rzekł W. Ks.: «maintenant vs. allez voir ce que je vais faire» a przystąpiwszy do synów ordynata, z których Władysław jest oficerem w 1 pułku ułanów, a drugi w szkole applikacyjnej, całował się z nimi.

O znalezionem przed dwoma tygodniami dziecku bynajmniej nie słychać. Czy rzecz tę umorzono dla braku dostatecznych dowodów, czy też jeszcze poszukują, słowem, że nic w tej mierze dowiedzieć się nie można i zapewne na niczem się skończy.

Dnia 30 odbyło się przecież z niecierpliwością przez publiczność oczekiwane posiedzenie Towarz. Przyj. Nauk, pod prezydencją Niemcewicza. Na dwie godzin przed otwarciem sali mnóstwo osób oblegało sień i schody, natłok był nadzwyczajny. Po zdaniu sprawy z czynności przez prezesa, przyznany i wręczony został medal srebrny w nagrodę uwieńczonej rozprawy opisu statystycznego obwodu sandomierskiego. Autorem jej jest Antoni Cyprysiński, uczeń Uniwersytetu [1]).

Maj. Dnia 1 nadeszła tu zatwierdzona przez Naj. Pana procedura sejmowa, ułożona przez radę admin. a tak daremna praca ks. Lubeckiego i łożone starania, aby się jego projekt utrzymał.

Dnia 13 ogłoszono w gazetach naszych dekret Naj. Pana stanowiący urządzenie sądu sejmowego i prawidła postępowania w tymże sądzie w sprawach o zbrodnie stanu. Dzień zwołania i rozpoczęcia takowego sądu, nie jest wiadomy.

Dnia 14 mieliśmy 23 stopnie ciepła — jeźli o tej porze takie upały, cóż to będzie dopiero później.

Dnia 15 jako w wigilją imienin księżny Łowickiej do pięćdziesiąt dam składało jej powinszowanie w Belwederze samym wieczorem. Z mężczyzn jeden tylko W. Ks. znajdował się w tem gronie.

W tych dniach urząd municypalny wezwał wszystkich redaktorów gazet, którym oświadczono, że jeźli odbiorą pocztą kaliską antyrecenzją romansu Tarły z podpisem *Wierusz*, aby pisma takowego nie ważyli się drukować, lecz natychmiast złożyli je w ratuszu. Jakoż w parę dni potem, redakcja Gazety Pol. odebrawszy takowe złożyła natychmiast w miejscu wskazanem. Cóż z tego wnosić? — oto że pismo to było jadem złości zaprawne na jakowego urzędnika, albo że było rozwiązłe? gorszące, albo przeciw duchowieństwu lub rządowi wymierzone. Nic z tego wszystkiego, ale dosyć, że je pisał były poseł Niemojewski. Stojący u niego ciągle oficer od żandarmów, który ma baczenie na jego postępki i jako drugi anioł stróż krok w krok dybie za nim, musiał donieść o tem wyższej władzy. Cenzura bowiem nie pozwala wspomnienia i umieszczenia w pismach publicznych imienia Niemojowskiego, w prostych nawet doniesieniach o sprzedaży itp. Na dowód tego umieszczę następującą okoliczność: Razu pewnego tenże Niemojowski podpisał się w ogłoszeniu, iż sprzedaje owce merynosy. Ktoby pomyślał, że i to nie przejdzie przez szpary cenzury? Dawała ona za powód, iż nie wie czy Niemoj. w istocie posiada merynosy; dopiero za poświadczeniem komisji spraw wewn. przeszedł ten liberalny artykuł.

Gazeta Polska umieściła następujący artykuł: Dnia N. odbyła się w Norymberdze koronacja, ale nie cesarza ani króla, lecz po skończonej komedji, wystąpiła panna N. i uwieńczyła wieńcem głowę aktora N. N.

Rzecz podziwienia godna, iż cenzura, która każde słówko cedzi i mierzy na szali swego głębokiego rozsądku, iż cenzura mówię, przepuściła ten artykuł. Naturalnie wypływa, iż w podobnego rodzaju wykroczeniach cenzor odpowiedzialny być powinien — tą razą zupełnie przeciwnie się stało. Cenzorowi uszło na sucho, a natomiast redaktor cztery doby siedział w kozie. Przywołany redaktor do Belwederu, szczęśliwym trafem znalazł W. Ks. w dobrym humorze wracający z odbytego egzaminu szkoły podchorążych. Oto jest następująca co do joty jego audyencja. W Ks. zastawszy winowajcę w przedpokoju, rzekł po polsku: proszę Wać Pana za sobą — przeszedłszy przez pokój kazał mu się zatrzymać, a sam udał się do pobliskiego apartamentu i wnet wróciwszy z gazetą w ręku, wskazuje mu palcem na owe miejsce i tuż pod oczy przybliża. Poczem rzekł: jak mogłeś Wać Pan to umieścić? Na pokorne przyznanie się do winy redaktora, ozwał się W. Ks. «Wać Pan jesteś warjat, wszyscy redaktorowie jesteście warjaci, a Wać Pan największy warjat — wszakże żadna inna gazeta tutejsza tego nie umieściła. Zkąd ten artykuł jest wyjęty:» Redaktor odpowiedział: «z berlińskiej gazety Nossa dosłownie»— W. Ks. «pójdziesz Wać Pan za to na ratusz, a teraz upadam do nóg»— wtem skłonił się i odszedł. Nie sposób przypuścić, aby W. Ks. czytał od deski do deski codzień wychodzące pięć gazet tutejszych; ale muszą być tacy gorliwcy, którzy chwytają za słówko, mienią każde wyrażenie itd. Redaktor Kurjera siedział za to w kozie, iż między doniesieniami umieścił uwiadomienie pewnego fabrykanta, «iż dostanie u niego guzików wojskowych i liberyjnych.»

Czerwiec. Dnia 1 było ciepła 25 stopni.

Pełna litości ku ubogim i pobożności księżna Łowicka, powziąwszy wiadomość, iż nadworny doktor Czekierski bliski jest zgonu, udała się do niego i nakłaniała go do wyspowiadania się. Dnia następnego dowiedziawszy się księżna, iż krewni i przyjaciele chorego, nie przywołali czyli też nie dopuścili przystępu duchownemu, przybyła powtórnie, a zapytawszy się lekarza, kogo życzy sobie mieć za spowiednika?; posłała po tegoż i nie wprzód odjechała, aż póki pacjent nie oczyścił swej duszy.

Słyszeć się daje, że około 18 b. m. rozpocznie się sąd sejmowy. Niema w tej mierze nic ogłoszonego, ale senatorowie są wezwani, aby się stawili — i jakoż wielu się już zjeżdża. Ciekawi jesteśmy, czy bawiący za granicą ks. Adam Czartoryski przybędzie.

Dnia 8 mieliśmy 26, a dnia następnego 27 stopni ciepła.

Dnia 11 żyć przestał po kikodniowej słabości Wojciech Leszczyc Skarszewski, arcybiskup warsz., kawaler orła białego i św. Stanisława 1 klasy, mając lat 84 i kilka tygodni. W wigilją jego zgonu, zgromadzone duchowieństwo otrzymało od niego błogosławieństwo. Na prośbę biskupów, aby się wyspowiadał, odpowiedział, że jeszcze czuje się na siłach i nie jest w ostatecznej chwili

---

[1]) Cyprysiński, później pełnomocnik ordynatów Zamojskich, autor cenionej «Kwestji włościańskiej,» przeprowadzał oczynszowanie włościan. Zmarł 1860 r. K. B.

jednakowoż dnia tego dał się nakłonić i opatrzył się na wieczną podróż.

Dnia 13 wojsko weszło do obozu. Dnia tegoż oficerowie gwardji pols. i ross. pieszej, wystąpili po raz pierwszy przy pałaszach; są one w skórzanej pochwie, mają rękojeść kształtu szpady i podobnież na pendentach zawieszone. Od kilku miesięcy złożone zostały w arsenale przysłane z fabryki Tulskiej, cena ich 29 rubli bomażnych.

Dnia 14 przybył książe Adam Czartoryski z Neapolu, po kilkoletniej w kraju niebytności.

Dnia 15 nastąpiło o godz. 9 rano otwarcie sądu sejmowego w sali senatu — a lubo podług postanowienia Naj. Pana sąd ten ma być publiczny, zaledwo tą razą 40 osób znajdowało się z widzów i ciekawych, gdyż kto tylko przyszedł, nie był puszczony, jeźli nie w mundurze, a ponieważ nie było względem tego żadnego poprzedniego doniesienia, każdy wracał z pod zamku jak niepyszny. — Po odebraniu przysięgi od kilku niedawno mianowanych senatorów, zgromadziwszy się senat w swej sali, zaprosił przez deputację radę admin. Prezes tejże wezwał radcę stanu jener. Kosseckiego do odczytania dekretu Naj. Pana, wyłuszczającego powody zwołania sądu; poczem w krótkich przemówił słowach. Następnie odczytał J. Tymowski refer. stanu, sekr. ogólnego zgromadzenia rady stanu, rapport komisji śledczej. — Prezes rady wezwał do odczytania postanowienia Naj. Pana, poddającego pod sąd 8 obwinionych; mianującego wdę Piotra Bielińskiego prezesem sądu, Antoniego Wyczechowskiego, radcę stanu nadzw. prokuratorem jlnym i pisarzem Kl. Urmowskiego sędziego appel. Wszyscy wzwyż wymienieni, oprócz prokuratora, ale natomiast i 2 zastępcy pisarza, wykonali prawem przepisaną przysięgę, poczem prezes senatu wezwał publiczność na ustęp. Skutkiem tego tajnego posiedzenia obrani zostali na członków delegacji do instrukcji wniesionej sprawy: Michał Radziwiłł, wda, były jenerał w pols., kasztelani: Tad. Tyszkiewicz, także były jener w. pols., Maciej Wodziński, Szymon Wiśniewski i Wiktor Rembieliński. Szczęśliwy jest to wybór ludzi zacnych, prawych i z charakterem. Posiedzenie to senatu trwało do godz. 4 po południu.

Tegoż dnia o godzinie 7 wieczorem odbył się pogrzeb arcybiskupa w kościele św. Jana. Ulice, któremi orszak przechodził natłoczone były niezliczonym ludem i wszelkiego stanu widzami. Instytuta dobroczynne i uczniowie wszystkich szkół poprzedzały ten orszak; dodać tu należy, iż lubo Uniwersytet był wezwany, żaden przecież z uczniów nie znajdował się. Wszyscy biskupi i liczne duchowieństwo, eksportowało zwłoki, lecz mała nader liczba była wyższych urzędników.

Kapituła warsz. obrała administratorem archi-dyecezji scholastyka, Franc. Ksaw. Szaniawskiego, prof. Uniw. Pensja przywiązana do tego urzędu i godności wynosi 33.000 złp. Spodziewać się należy, iż cesarz nie tak prędko zanominuje nowego arcybiskupa — i jakoż, życzyć należy, aby pauza ta była przynajmniej jednoroczna, skarb oszczędziłby na tem niemało.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD LITERACKI.

Wszystkie dzieła polskie Jana Kochanowskiego tom II. wydanie Altenberga. Lwów 1882. Dzieła Jana Kochanowskiego tom III-ci wyd. K. Bartoszewicza. Kraków 1882.

Niedawno pisaliśmy o tych dwóch wydaniach wieszcza czarnoleskiego, wykazując niezaprzeczoną wyższość wydania p. K. Bartoszewicza. Mając przed sobą następne tomy, tylko powtórzyć możemy, cośmy już raz napisali, z tym dodatkiem, że 2-gi tom wydania p. Altenberga przepełniony jest jeszcze więcej błędami niż tom Iwszy. Wydawca znać nie wiedział, że nie tak dawno, bo w r. 1867 wyszedł w Poznaniu Psałterz pod korektą Rzepeckiego i ztąd pominął to prawdziwie krytyczne wydanie i poprzestał znowu na prostym i bezmyślnym przedruku wydania Turowskiego. Jaki tego rezultat okażmy na przykładzie. Weźmy naprzykład jeden tylko psalm XXXV. i porównajmy go w wydaniach p. Altenberga i p. Bartoszewicza.

u Altenberga i Turowskiego:	*w dawnych wydaniach, u Rzepeckiego i Bartoszewicza:*
wiersz 17 *drogą*	*drogi*
wiersze 34, 34 i 36, a mianowicie:	

Uprzejmość moję złością mi oddali,
Miasto ratunku samiż zasiadali
Na gardło moje —

u Altenberga **całkiem opuszczone.**

wiersz 38 (u Alt. 35)	
Chodził i *prosząc* Pana za ich zdrowie Prosił ustawnie	Chodził i *poszcząc* Pana i t. d.

Zdrowa logika wskazałaby błąd korektorowi, ale po co mu było zdrowej logiki, kiedy miał wydanie Turowskiego.

wiersz 61 (u Alt. 58)	
gęby...., rodziewili	gęby..... rozdziewili

Prosty błąd zecerski u Turowskiego przedrukowany z pietyzmem.

wiersze 70, 71 i 72, a mianowicie:

Osądź mnie według swej sprawiedliwości,
A nie daj, Panie, przeklętej zazdrości
Pociechy ze mnie.

całkiem u Altenberga opuszczone.

Weźmy teraz jeszcze inny psalm np. LXVIII.

u Alt. i Tur.	*w pierw. wyd. u Rzep. i Bart.*
wiersz 17 *zejmuje*	*zdejmuje*
wiersz 30 *osiągnęli*	*osięgnęli*
wiersz 46 Ćmy *nieprzyjazne*	Ćmy *nieprzejżrzane* (nieprzejrzane)
wiersz 52 *ubudował*	*ulubował*

Ten błąd znajduje się i w paru wydaniach Piotrkowczyka.

wiersz 56: Ten ma w swojem władaniu czarnej śmierci wrota.
całkiem opuszczony, choć brak sensu w tym ustępie u Turowskiego, kazałby sumiennemu korektorowi zajrzeć do innych wydań.

wiersz 61 *krwie*	*krwi*

We wszystkich starych wydaniach jest *krwi*, ale Turowski a za nim Altenberg pragnął jeszcze więcej ustarożytnić język Kochanowskiego, — również i w wierszu przedostatnim tego psalmu drukują obaj: *świątnice*, zamiast *świątnicy*, jak jest w wyd. Łazarza i Piotrkowczykowych.

Czytelnik w obec tego zrozumie jak wielkiem i karygodnem jest niedbalstwo w wydaniu dzieł wielkiego poety przez p. Altenberga, kiedy w dwóch psalmach (a jest ich 150) tyle błędów i opuszczeń znaleźliśmy. Nie żąda nikt od p. Alt. całkiem krytycznego wydania, ale poprzestać na nędznem wydaniu Turowskiego, nie usiłując ani jednego błędu poprawić, a choćby tylko uchronić się od opuszczeń całych wierszy i ustępów, to się nazywa *tandetnie* wydawać. Taka jednak fuszerka ma swoich między gazeciarskimi bazgraczami zwolenników, co dowodzi ich naiwności, a raczej tego, że jak dawniej każdy szlachcic miał swego żyda, tak dziś każdy żyd ma... swoich literatów. W każdym razie nie zazdrościmy prenumeratorom p. Altenberga, jeżeli tenże tak *klassycznie* dalszych klassyków wydawać zechce.

Sumiennie przeto polecamy wydanie p. Bartoszewicza, którego trud około możebnie poprawnego wydania, sam czytelnik na każdej stronie w licznych przypiskach i objaśnieniach zobaczy, gdyż p. Bartoszewicz drukował z wydań pierwotnych, a choć przy druku Psałterza przyjął wyjątkowo za podstawę nowe wydanie krytyczne Rzepeckiego, to nie polegając na niem zupełnie, podawał warjanty i nawet gdzieniegdzie Rzepeckiego błędy sprostował.

L.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Opera polska ze Lwowa.

Przedstawienia opery i operetki lwowskiej już się skończyły, sympatyczni artyści opuszczają nas, miłe zostawiając wspomnienia. Naszym zaś obowiązkiem jest złożyć dalsze sprawozdanie ze sztuk nieobjętych w poprzednich numerach „Przeglądu.“ Zaczniemy od „Fatynicy,“ znanej z przedstawień artystów miejscowych, którzy ją tu bardzo dobrze wykonali. Wykonanie jej przez lwowski personal nie zadowoliło nas, mimo popisowej roli panny Bocskaj i p. Koncewicza. Całość wypadła blado, szczególniej u mężczyzn, którzy prócz p. Koncewicza (jenerał Kańczugow) nie oddali typów tak jak należało, widocznie nie mieli sposobności do ich studjowania. Co innego u nas w Krakowie, gdzie dość przejść się na którąbądź komorę, aby zobaczyć w oryginale *Stupajkę* i t. p. znakomitości. Dobre kuplety improwizował p. Skalski a pani Skalska rolę księżnej Lidji ładnie odśpiewała.—Następnie dano nam „Juanittę“ w trzech aktach w polskim przekładzie Aurelego Urbańskiego z muzyką Fr. Suppego. Libretto pp. Zell i Genèe nadzwyczaj humorystyczne, przechodzi prawie granicę farsy i wzbudza homeryczny śmiech w słuchaczach ; muzyka lekka i wdzięczna, odznaczająca się szczególniej w chórach pięknością pomysłów. Do najlepszych numerów należą: pieśń Petrity, kwintet i finał w pierwszym akcie; akt II. serenada studencka, scena sprzysiężenia i finał; akt III. wstęp orkiestralny, duet i marsz. Heroiną wieczoru była p. Bocskaj a bohaterem p. Myszkowski (Don Pomponio), pyszny w rolach charakterystycznych. P. Waitz okazała w roli byłej baletniczki talent do ról komicznych, grała z humorem i werwą, a na wzmiankę szczególniejszą zasługuje jeszcze p. Ruszkowski, który angielskiego pułkownika wybornie oddał. Śliczny chór studentów rozpoczynający akt drugi musiał być każdym razem przy wystawieniu tej operetki powtarzanym. Solo sopranowe w tym chórze śpiewała pani Dutkiewicz bardzo ładnie. Chóru tego tak świeżego i oryginalnego nie napisał Suppe, lecz włożył gotowy taki, z jakim się produkowało w Wiedniu w r. 1881 towarzystwo hiszpańskich studentów. Muzyka w Juanicie zakrawa w niektórych ustępach na poważną operę.

Jako drugą nowość dano nam dalej „Niewiniątko z Belleville,“ libretto pp. Zell i Genèe z muzyką niby Millöckera.

W operetce tej tak libretto jak i muzyka Bogu ducha winne, a raczej dawnym autorom, z których kompozytor czerpał pełną garścią motywa do swego dzieła. Znaleźliśmy tam reminiscencje z wszystkich prawie operetek. Pannie Bocskaj, pp. Myszkowskiemu i Skalskiemu zawdzięczyć tylko, że „Niewiniątko“ nie pogrążyło słuchaczy w „niewinny“ sen. Zacząwszy od niewiniątka a skończywszy na Kirasjerze niema ani jednej postaci dowcipnie nakreślonej. P. Nowicki miał w śpiewie *same pauzy*.

Prócz tych operetek powtórzono kilka razy „Wojnę o tancerkę,“ „Dzwony,“ „Juanittę,“ miluchne „Książątko,“ w którym słabą p. Skalską zastępywała pani Bronikowska. Zauważyliśmy w personalu żeńskim dwa młode talenta, które rokują przyszłość: pani Bronikowska i pani Dutkiewicz mogą i większe role dobrze wykonać.

Wśród tych skocznych rytmów przedstawiono dnia 27 sierpnia „*Trawiatę*“ Verdiego. Oceny tej znanej powszechnie opery podawać nie będziemy. Wykonanie jej przeszło nasze oczekiwania. Pani Skalska dała nam świeży dowód, iż polem jej talentu jest *głównie* opera; rolę Violetty wykonała bardzo sympatycznie; w śpiewie tej artystki jest to, co każdego za serce chwyta — *prawdziwe uczucie*. To też po każdym akcie wywoływano i obsypywano oklaskami p. Skalską. Dobrą koloraturę swą wykazała artystka ta w ustępie „Jeźli to prawda, uchodź ztąd“ (akt I. scena 3). — P. Alma, jako Alfred dał dowody swej muzykalności i intelligencji; najlepiej śpiewał w akcie pierwszym w pieśni z kielichem w ręku „Niech krążą kielichy ochoczo, dłonią piękności podane“ i w ostatnim akcie (scena 6) w duecie z Wiolettą „Zdala od świata, aniele drogi, złączeni razem spędzimy życie“. Rolę Germonda grał p. Koncewicz. Artystę tego znamy od lat może 30, był on ulubieńcem w kołach muzykalnych Lwowa, w Halce śpiewał zwykle Janusza. Posiada nadzwyczajną objętość głosu, gdyż od *E* niskiego do *G* i *As* tenorowego w górze. Artysta ten dobrze pojął i oddał rolę Germonda. Wybitne momenta były; duet w akcie II. (scena 5) z p. Skalską do słów „Bóg miłosierny niech wspiera cię“ i solo w scenie 8 akt II. w słowach: „posiwiały ojciec twój, nie wiesz jaki poniósł cios.“

Inne role są w tej operze podrzędne; miluchną była pani Dutkiewicz jako Annina, służąca Violetty. Chóry i orkiestra trzymały się bardzo dobrze.

Na zakończenie (35 przedstawień) dano w niedzielę, dnia 3 września, pierwszy akt z „Halki“ i pierwszy akt z „Krakowiaków i Górali“ Kamińskiego. W „Zabobonie“ tak poeta jak i kompozytor o wiele autorów „Cudu“ przewyższyli. Muzyka Kurpińskiego dotąd należycie nie była oceniona. Przy przedstawieniu tej sztuki w Wiedniu w r. 1856 muzycy niemieccy byli pełni podziwu dla tej pięknej, oryginalnej partyji.

Uwertura wyróżnia się u innych podobnych sztuk świeżością swoich motywów, fugato rozpoczynające drugą jej część zachwyca swym motywem i potęguje się aż do silnej stretty końcowej. Pierwszy duet i chór introdukcyjny wprowadzają nas odrazu w nasze życie sielskie. Jaki piękny motyw w następnym duecie Bryndusa i Basi, jak dobrze maluje kompozytor to oburzenie niewinnej dziewczyny przy słowach: „Nie zaczynaj wojny, niech cię nie dmie pycha.... Temat następnego chóru Górali jest oryginalny i piękny. Arja „Studenta“ tak ogólnie znana i śpiewana stała się prawie pieśnią ludową! Najpiękniejszym ustępom pierwszego aktu jest chór pożegnalny, zawsze piękny, zawsze świeży. Duet kochanków rzewny i dobrze opracowany. Kończy się akt pierwszy energicznym chórem, zwanym chórem „pogoni.“ Wykonanie „Krakowiaków“ było zupełnie dobre, a kuplety artystów odjeżdżających wzbudziły zapał niesłychany, szczególniej pożegnalne zwrotki pp. Skalskiego i Miłaszewskiego wywołały liczne i serdeczne oklaski. Również i „Halka“ poszła całkiem poprawnie a pani Skalskiej rzucono kilkanaście bukietów na scenę.

W ogóle zaznaczyć musimy ten serdeczny stosunek jaki tu panował pomiędzy publicznością krakowską a artystami lwowskimi i tychże dyrektorem p. Miłaszewskim. Artyści wszyscy, chór i orkiestra, zasługują na uznanie za ich pracę chętną i sumienną.

Z przyjemnością znów ujrzemy kiedyś u nas artystów lwowskich, jeźli nas zechcą odwiedzić; dziś posełamy im ze serca „Do widzenia“

Maurycy Sieber.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Literackie i naukowe.

— P. *Wincenty Rapacki* wystawił w „Alhambrze“ Warszawskiej legendę dramatyczną: chłopcy pana Cześnika.

— P. *Gawalewicz* napisał jednoaktową komedję p. t. „Bobiński.“

— „Kronika rodzinna“ pomieszcza ciekawe listy *Seweryna Goszczyńskiego.*

— P. *Stanisław Tomkiewicz* napisał oryginalną trzy aktową komedję p. t. „Darwiniści.“

— Katedrę chirurgji na Uniw. krakowskim otrzymał jak donoszą pisma wiedeńskie p. *Mikulicz*. Znaną jest powszechnie stanowcza opozycja Uniwersytetu przeciw mianowaniu tego cudzoziemca. Lekceważenie takie woli wydziału lekarskiego zawdzięczamy zapewne owym „rządom polskim“ w Austrji. Dzięki, dzięki ministrom — rodakom.

— *T. T. Jeż* powraca z Paryża do Genewy.

— „Tygodnik illustrowany“ pomieszcza obszerniejszą monografją: Ziemia świętokrzyska, pióra p. Wład. Zapałowskiego, zasłużonego obywatela z ziemi sandomierskiej.

— Hr. *Karol Lanckoroński* jedzie dla dobra nauki..... na wyspę Rhodos w celu poszukiwań archeologicznych. Zwracamy uwagę pana hrabiego, że marszałek przy otwarciu sejmu wspomniał o 2413 gminach galicyjskich bez szkoły.

Z dziedziny malarstwa, rzeźby, muzyki, teatru i architektury.

— Dla „Monde illustré“ wykonywa p. *Paweł Merwart* szereg rysunków z Tatr.

— P. *Chełmoński*, znakomity artysta polski mieszkający stale w Paryżu, bawił czas dłuższy w Krakowie. Mieliśmy sposobność oglądać dwie prześliczne jego prace będące na ukończeniu: Polowanie kozackie na wilki i Polowanie z chartami.

— „Halkę“ i „Straszny Dwór“ Moniuszki przygotowują w Pradze do wystawienia.

— Koło literacko-artystyczne krakowskie prosi nas o przypomnienie, że z dniem 1 Października kończy się termin nadsyłania illustracji konkursowych do Balladyny Słowackiego. Szczegółowy program rozsyła „Koło“ na żądanie.

Do tego Nru dołącza się „Głowa studjum,“ rysunek Leona Picarda.



GŁOWA (Studjum)

Rysunek L. Piccarda.